

Trzeba pożegnać się z mitem



Trzeba pożegnać się z mitem (25-30 lat temu sam w niego wierzyłem), że w swoich początkach Stany Zjednoczone były umiarkowaną, arystokratyczną republiką z rządem „mieszanym”, jak Rzym starożytny, która dopiero później zdegenerowała się w demokrację i wreszcie w państwo opiekuńczo-garnizonowe (termin paleokonserwatysty Thomasa Fleminga), a Ojcowie Założyciele i autorzy konstytucji byli konserwatywnymi chrześcijanami (choć oczywiście protestantami), szczerze wierzącymi w Trójosobowego Boga, którzy odrzucili jedynie ideę kościoła państwowego ze względu na pluralizm konfesji w społeczeństwie. Prawda jest zupełnie inna. Wszyscy, albo przynajmniej prawie wszyscy Founding Fathers, na czele z Washingtonem, Franklinem, Jeffersonem i Madisonem byli deistami (a możliwe, że u niektórych nawet deizm był tylko kamuflażem dla całkowitego niedowiarstwa) i oczywiście masonami, zdecydowanymi wrogami chrześcijaństwa, a w szczególności katolicyzmowi (który Jefferson uważał za „antyreligię powstałą z majaków obłąkańczych imaginacji”) i zdecydowanymi stworzyć pierwszy w historii całkowicie świecki porządek, w zupełności „wolny” od jakichkolwiek odniesień religijnych (co też uczynili pisząc ateistyczną konstytucję, w której nie ma najmniejszej wzmianki o Bogu, choćby najogólniej i ponadkonfesyjnie pojętym, oraz tworząc pierwsze w dziejach „świeckie państwo”).

Publicznie unikali z hipokryzji lub ostrożności atakowania lub wyszydzania wprost religii, ale w korespondencji prywatnej bywali zupełnie otwarci. Np. Thomas Jefferson w liście do Williama Shorta z 31 października 1819 roku wykładał, że

grzech pierworodny, dogmat trynitarny, Boskość Jezusa, Jego cuda, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie na oczach uczniów, realna obecność w Eucharystii, itd. są „sztucznymi systemami wymyślonymi przez radykalne chrześcijańskie sekty”, które zepsuły „szlachetną moralność”, której uczył Jezus, a w liście do Johna Adamsa z 11 kwietnia 1823 roku prorokował radośnie, że nadejdzie dzień, „kiedy mistyczne spłodzenie Jezusa przez Boga Ojca w łonie dziewicy będzie uznawane za taką samą bajeczkę, jak spłodzenie Minerwy w głowie Jowisza”

Rewolucjoniści amerykańscy nie byli więc lepsi od rewolucjonistów francuskich, tylko od nich rozsądniejsi i bardziej pragmatyczni. Nie uciekali się do gilotyn, pławienia w rzekach i innych okrucieństw. Oczywiście sprawę ułatwiła im wielość protestanckich denominacji i niemal całkowita nieobecność wówczas katolicyzmu w postbrytyjskich koloniach. Dla uzasadnienia całkowitej „prywatyzacji” religii i „świętej zasady” idealnego oddzielenia religii od państwa, posłużyli się prostą sztuczką wymyśloną jeszcze przez Locke’a, a mianowicie przyjęcia (politycznego) dogmatu tolerancji dla wszystkich sekt protestanckich pod warunkiem, że każda z nich zgodzi się też tolerować religijne zapatrywania pozostałych denominacji, czyli zrezygnuje z roszczenia do prawdy. Odrzucając możliwość uznania przez państwo za swoją jakiegokolwiek religii i jakiegokolwiek kościoła (przy przyjęciu również Locke’ańskiej definicji kościoła, jako opartego też na umowie społecznej „wolnego stowarzyszenia ludzi, którzy ze sobą się łączą na zasadzie całkowitej dobrowolności w tym celu, żeby publicznie cześć Bogu oddawać w tej formie, jaka w ich przekonaniu jest bóstwu miła”), a jednocześnie w imię absolutnej „wolności religijnej” zezwalając na działalność religijną, czyli zakładanie „kościołów” komukolwiek, Ojcowie Założyciele świadomie umożliwili pojawienie się w USA tego, co nazwano „plagą sekt”, zakładanych przez „teologicznych wagabundów”, a nawet szaleńców i ponurych dyktatorów religijnych, który to zalew „wolnego religianctwa” uczynił z Ameryki – jak się wyraził

Harold Bloom – „kraj zbzikowany religijnie”. Tak sytuacja jednak – znów zgodnie ze wskazówkami przebiegłego Locke’a – była nadzwyczaj korzystna dla państwa, ponieważ trudna do policzenia mnogość sekt czyniła każdą z nich zależną od jednolitego i „neutralnego” państwa, mogącego je kontrolować i nadzorować oraz wykorzystywać do własnych celów. Madison, Jefferson i inni twórcy konstytucji USA jednym pociągnięciem pióra w swoich artykułach potrafili przekreślić 15 wieków istnienia w świecie państwa chrześcijańskiego z prawnie uznaną religią państwową, jako tyranii i ciemństwa. Ale szczytem tupetu było oznajmienie (Madison uczynił to w tekście zatytułowanym „Memorial and Remonstrance” z 1785 roku, będącym elementem kampanii na rzecz pozbawienia chrześcijaństwa statusu religii oficjalnej w stanie Wirginia), że istnienie religii państwowej stoi „w oczywistej sprzeczności z religią chrześcijańską jako taką” i sam Bóg nie życzy sobie, aby religia ta doznawała ochrony i wsparcia „ze strony ludzkiego prawodawstwa”. Podobnie pisał Jefferson w „Statucie wolności religijnych Wirginii” z tego samego roku, gdzie dowodził, że wszelkie regulacje urzędowe „są odejściem od planu najświętszego Autora naszej religii”. Pomijając już nawet hipokryzję zawartą w aluzji do „Autora naszej religii”, która symulowała, że deista uznaje za tego autora Boga chrześcijańskiego, i Jefferson i Madison, próbują beczelnie wmówić, że Bóg, który przez kilka tysięcy lat Objawienia mówił coś zupełnie przeciwnego, czekał aż do 1785 roku, aby powiadomić tych amerykańskich dżentelmenów, że nie życzy sobie państwa i prawodawstwa chrześcijańskiego, bo ma wobec człowieka inne plany.

Reasumując: USA nie były nigdy dobrą i chrześcijańską republiką: to państwo było od samego początku zrobczywałe od trucizny deizmu, masonstwa i sekularyzmu.

I jeszcze jedno dopowiedzenie. Trucizna indyferentnego religijnie „amerykanizmu”, rozprzestrzeniając się wraz z marines, dolarem i McDonald’sem na cały świat – zgodnie z

przepowiednią Jeffersona z 1826 roku (w napisanym dwa tygodnie przed jego śmiercią, w liście do Rogera Weightmana z 24 czerwca), że forma ustroju, „którą wybraliśmy”, powinna stać się dla „świata, a w moim przekonaniu będzie (dla niektórych jego części rychlej, a innych później, ostatecznie jednak dla wszystkich) sygnałem do zrzucenia przez powstające ludy kajdan, w które mnisia ciemnota i przesąd własnoręcznie kazały im się zakuć” – zatruła faktycznie już większość narodów i państw na świecie, ale stała się też rzecz na pozór niemożliwa i absurdałna, bo zainfekowała ona także Kościół Rzymski. Stało się tak za sprawą przebiegłego i wpływowego jezuitę Johna Courtneya Murraya, który odwołując się do modelu amerykańskiego (a ignorując jego potępienie pół wieku wcześniej przez papieża Leona XIII), zdołał przeforsować uchwalenie na Vaticanum Secundum nieszczęsnej Deklaracji o Wolności Religijnej „Dignitatis humanae”, która faktycznie obaliła naukę Kościoła o państwie chrześcijańskim i na podstawie której dyplomacja watykańska zmusiła ostatnie państwa katolickie na świecie (z Hiszpanią na czele) do przejścia na pozycje „neutralności” religijnej.

A dzisiaj inny jezuita, okupujący stolec papieski, bredzi, że sojusz tronu i ołtarza niedobra jest.

[prof. Jacek Bartyzel](#)